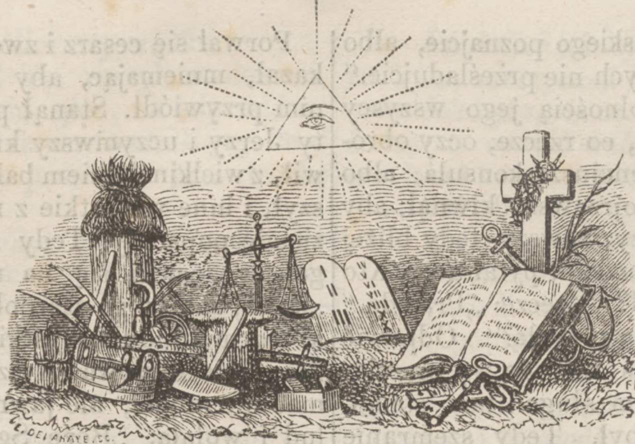
№ 16.

WARSZAWA

20 Kwietnia

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Śty Jerzy Męczennik.

Gdy do Dyoklecyana cesarza Rzymskiego starostowie ze wszystkich królestw, a zwłaszcza wschodnich, o wielkiej liczbie ludzi chrześcijańskich (którzy bogami gardzą, a Chrystusa ukrzyżowanego za Boga mają) pisali, oznajmując, iż się bać już było trzeba, aby po wszystkiem państwie Rzymskiem stare nabożeństwo nie upadło; wezwawszy cesarz ze wszystkich krajów przedniejszych starostów i urzędników, radził się z nimi w senacie swym rzymskim, coby było lepszego? czyli dać tę wolność chrześcianom, czyli nie? A gdy sam naprzód swój jad na chrześciany odkrył, powiadając, iż się za bogów swych wszystką mocą zastawić chciał, wszyscy inni za jego zdaniem poszli, i postanowili ze wszystkich przeszłych najokrutniejsze i powszechne na chrześciany prześladowanie; żeby z fundamentem obaleni i wykorzenieni byli.

Na ten czas w wojsku rzymskiem był jeden żołnierz rodem z Kappadocyi na imie Jerzy albo Georgius, z dzieciństwa od chrześciańskich zacnych rodziców w wierze świętej wychowany, który będąc i rodzaju zacnego i urody, a męztwo wrodzone mając, w żołnierskim stanie do wielkiej sławy zacnemi i mężnemi postępkami swemi przyszedł tak, iż mu urząd wielki w wojsku nad innemi rotami zlecony był.

Ten gdy widział, iż tak straszne i niesłychane prześladowanie na chrześciany powstało, a że miał pogodę dostąpić zbawienia swego: poprzedawszy majętność swoją i ubogim rozdawszy, niewolników swych wolno puściwszy i inną czeladź odprawiwszy, wszedłszy do onej wielkiej rady z twarzą wesołą i sercem nieustraszoném, wolnym językiem tak do wszystkich mówił: „Czemu cesarzu i ty zacna rado i wy Rzymianie w innych rzeczach zawdy praw sprawiedliwych trzymając się, złe a niesprawiedliwe ustawy na chrześciany stanowicie, na ludzie niewinne i prawdę znające, które chcecie do służby djabelskiej zniewolić? Nie błądźcie, bogowie wasi djabli są: sam jeden Bóg jest prawdziwy Jezus Chrystus, który z Ojcem i z Duchem świętym świat stworzywszy, sprawuje go i zachowuje. Nie chciejcie tak szalonymi być, albo prawdę chwalenia je-

dnego Boga chrześcijańskiego poznajcie, albo chwalców jego niewinnych nie prześladujcie.“ Temi słowami i oną wolnością jego wszyscy zdumieli się, na cesarza, co rzecze, oczy obrócili. A cesarz na Magnencjusza konsula, albo przedniejszego pana spojrzawszy kiwnął, aby mu odpowiedział. Przyzwawszy tedy bliżej młodzieńca świętego Jerzego, pytał go: „Kto cię tak śmiałym uczynił?“ Rzecze: „Prawda.“ Spyta dalej: „Co to za prawda?“ Odpowie Jerzy święty: „Chrystus którego wy prześladujecie, a ja jego jestem sługa i tum stanął, abym jego świadkiem był. Tedy szemranie się wszczęło w radzie onej: jeden to, drugi co innego mówił. Aż cesarz uciszyć się kazał i rzekł Jerzemu: „Jam ciebie dla męztwa i mądrości twojej na wielkie honory wyniósł i miłuję cię jako syna; radzę, nie wdaj młodości twej w niebezpieczeństwo, a ofiaruj bogom, chceszli większe odemnie dostojności odnieść.“ A święty rzekł: „Boże daj to, abyś ty sam cesarzu prawego poznał, więcejby on tobie dał, niżeli ty mnie obiecujesz i niżeli teraz masz; bo to co masz, utratne i krótkie są dobra, do onych wiecznych kwap się ze mną, mnie od nich żadna rzecz i żadna twoja srogość nie odstraszy.“ A cesarz nie dając mu domawiać, porwać go i wsadzić do więzienia kazał.

Związali go i na w znak na ziemi położyli w ciemnicy, a na piersi jego wielki kamień uwalili. Nazajutrz pozwany jest do cesarza i widząc go onym kamieniem zmorzonego, rzekł: „Upamiętałeś się już?“ A gdy święty odpowiedział: „Rychlej się ty męcząc mię zmęczysz, niżeli ja na złą twoją radę przystanę.“ Tedy okrutnik różne najstraszniejsze męki zaczął wymyślać i pastwić się nad świętym młodzieńcem. A on to wszystko statecznie znosił i przy onych mękach z woli Bożej wielkie się cuda dziać poczęły, tak, że wielu pogan i sama cesarzowa Aleksandra w Chrystusa uwierzyli. A rada cesarska mówiła cesarzowi: „Wiele złego ten Jerzy czyni, bo się miasto wszystko do więzienia jego ciśnie, który przy cudach dziwnych naucza ich w Chrystusa wierzyć.“ Nazajutrz wywiedziony przed cesarza, święty Jerzy słyszał bardzo pochlebne słowa i piękne, bo mu mówił: „Będę cię miał jako za syna, i wtórym po mnie w państwie będziesz, jedno się bogom moim pokłoń.“ Święty Jerzy rzekł: „Pójdźmy do pogańskiego kościoła.“ Porwał się cesarz i zwołać wszystko miasto kazał, mniemając, aby już swoją myśl nad nim przywiódł. Stanął przed bałwanem święty Jerzy i uczyniwszy krzyż, skoro przemówił, z wielkim hukiem bałwan się obalił i skruszył, i inne wszystkie z nim potłukły się i na ziemię popadały. Tedy z gniewu kapłani pogańscy rzucili się na męczennika i wołali: „Zgub, zabij tego czarnoksiężnika“ i był wielki rozruch ludu wszystkiego; o którym Aleksandra cesarzowa usłyszawszy, już się wstrzymać nie mogła, ale jawnie się cisnęła przez lud i wołała: „Boże Śgo Jerzego wspomóż mię.“ I przyszedłszy padła do nóg jego, Chrystusa wyznawając i wysławiając: na co patrząc ludzie, wiele ich uwierzyło w Jezusa Pana naszego. A gdy ucichł on rozruch, Dyoklecyan z jadu wielkiego kazał Śgo Jerzego ściąć, także żonę swoją.

O Macieju Ulęgale
STRYCHARZU.

—

Nie powiem gdzie i w której okolicy działa się ta historya, bo to nie bardzo chlubna rzecz dla wszystkich, gdy się gdzieś głupstwo zrobi, a było to we wsi dajmy na to Gromadzin. Wieś duża, dziedzic mieszkał w innej majętności, a w Gromadzinie rządził administrator. O Czytelni Niedzielnej i Kmiotku nie słyszeli nawet, bo to było przed kilkoma laty; nikt też jakoś nie dbał, zwyczajnie nie było ani dziedzica, ani księdza proboszcza, coby się tém zajmował, więc dosyć ciemno było w Gromadzinie. I tak szło sobie. Owóż tedy było to w Sobotę wieczorem, w kancelaryi administratora robiono wypłatę i porachunek. Siaki taki poszedł do karczmy zajrzéć co się tam dzieje, ten soli, ten mięsa kupić, zwyczajnie jak do propinatora.

Gawędzili o tém i o owém, popijając i śmiejąc się po trochu, aż tu na jeden raz, wpada do karczmy niepoczesne stworzenie. Włosy miał rozczochrane, chudy, na prawą nogę kulawy, na lewe ramie garbaty i zézowaty na oba oczy. Trochę niby po wiejsku, niby od waszecia ubrany i niby buńczuczny i chwacki, krzyknął na karczmarkę piskliwym głosem i trochę przez nos:

— Wódki! Całe półkwarty wódki!

Jaki taki obejrzał się, ruszył ramionami, słysząc jak to mówią głos, a nie widząc osoby. A za tym człekiem wszedł jego brat takusieńki jak nowo przybyły, jeno trochę młodszy.

— Pij bracie! zawołał Maciej Ulęgała, bo to on był, gdy karczmarka we flaszce wódkę przyniosła. Pij bracie! krzyczał wciąż Ulęgała, damy my im damy! do Warszawy pójdę, a nie daruję! nie daruję! Choćbym miał wszystko stracić, nie daruję!

— A cóż możecie stracić, kiedy nic nie macie, odezwał się Stach młody gospodarz, co to z miny i z czupryny znać było że tęgi człowiek.

— Co to nie mam! wrzasnął przez nos Ulęgała. Mam, mam krowę, dwa ruble i trzy złote groszy piętnaście gotowych pieniędzy.

— A co to takiego? zapytał się propinator.

— A cóż ma być? ukrzywdzili mnie, obdarli, zniszczyli i juścić!

— Licha cię tam zniszczyli, kiedy wódkę pijesz jak wodę.

— Ba, juścić zniszczyli, zakrzyczał Ulęgałkowski, bo tak się ochrzcił, odkąd waspanem chciał zostać i bardzo się gniewał, jak go kto nazwał Maciejem Ulęgałą. Ja wszędzie sprawiedliwość znajdę, a co to, mnie Ulęgałkowskiego tak krzywdzić, a cóż to?!

— Kto się sam nie szanuje, to go nie szanują drudzy. A czemuż to mnie nic, albo dziesiątemu, człek zrobi co swoje, a jak swoje zrobi, szanuje oficyalistów i nie nadstawia gębą, to go i nie karzą.

Wszyscy w śmiech, a któreś z dzieciaków zaśpiewało:

Nie boję się pana ani jego dzieci,
Odrobiłem dwa dni, odrobię i trzeci.

— O wejcie? jaki mi zuch, wołał Ulęgała, i wy zamiast mi pomódz, to się jeszcze przekpiwata. Ale ja sobie dam radę! o dam! Poczekajcie, zobaczycie, jak ja tego administratora ztąd wykurzę.

— O ba! co mi za osoba, żebyś choć miał racyą, ałeć przecie u nas nikogo niesłusznie nie ukarali, nie można mówić, bo co prawda to prawda, ani administrator, ani oficyaliści nie są źli ludzie, odezwał się ktoś z gromady.

— A jakże to było z Maciejem? zapytał propinator.

— Jak było? jak było? A co komu do tego jak było, zakrzyknął Ulęgała.

— Jak było, to można miarkować z tego, że ma za co pić wódkę jak wodę. Zapłacił tam jakąś karę i mówi że niesłusznie.

— Juścić? wołał przez nos Ulęgała.

— Ale o co to poszło? zapytał ktoś inny.

— Powiadam raz jeszcze co komu do tego, pokrzywdzili mnie i na tém koniec. Chodź bracie, pójdziemy zaraz jutro skarżyć. I to mówiąc nasz Ulęgał czyli Ulęgałkowski, jak się przezwał, zapłacił za wódkę, wypił resztę duszkiem i wyszedł.

A ludziska co pozostali w karczmie w śmiech, ten i ów chciał się dowiedzieć o co rzecz poszła. Aż dopiero jeden, co tam siedział za stołem z śledziem w jedném, a chlebem w drugiem ręku, opowiedział jak miejscowy strycharz zachorował, jak Ulęgałkowski podjął się wypalić piec cegły, nadebrał pieniędzy, piec źle ustawił, cegła się niewypaliła że się nie zda na nic, a tu przyjechał jakiś majster z Warszawy, podobno budowniczy czy coś, przyjechał z ludźmi, na inną cegielnią po cegłę, ze dworu posyłać musieli. Dziś do porachunku przyszedł pijany, nawymyślał mu administrator, Ulęgałkowski hardo się stawił, administrator się rozgniewał, wpadł w złość, i kazał mu wytrącić zł. 8. Ja wiem te rzeczy najlepiej, kończył mówiący, bom urabiał glinę na cegłę przy nim i byłem przy porachunku.

Już się noc zrobiła na dobre, wszyscy się rozchodzić zaczęli, a Ulęgała leżąc pod szopą w cegielni przemyśliwał, jakby wykurzyć administratora z pałacu.

Na drugi dzień wybrali się do miasteczka, w którém mieszkał jegomość co zwał się z niemiecka Geldgrajfen, podobno niemiec, co jakby się przetłomaczyło na polskie znaczyłoby Łapigrosz, ale chociaż niemiec tak się zowie po polsku, my przecież inaczej nie możemy go nazwać jak Geldgrajfen.

Otóż Ulęgała udał się do pana Geldgrajfen, ukłoniwszy mu się nisko i ułapiwszy za nogi, jak zwyczajnie człowiek co o łaskę nie o sprawiedliwość prosi, a niema czystości w sumieniu. Bo sprawiedliwość nie jest żadną łaską, ona każdemu się należy.

— Wielmożny panie, mówił Ulęgała, nawyzywali się mnie, zdarli i ja chcę poszukiwać mojej krzywdy.

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie, zaraz ci napiszę prośbę. Zapłacisz mi rubla, a jak ci napiszę to zobaczysz, najmniej 500 złp. zapłacić ci musi ten kto cię skrzywdził. A jeśli tutaj nie zrobią ci sprawiedliwości, mówił Geldgrajf, to ci dam list do Warszawy, do mojego znajomego.

Maciek wydobył supełek, rozwiązał drżącemi rękoma i wydobywszy rubelka spoglądając na niego jakoś niby z żalem, położył na biurku, a Geldgrajfen otworzył, do szufladki wsunął rubla do innych nabytych tym samym sposobem, a nie odwracając się do Macieja i oglądając cygaro, zapytał:

— A masz ty znaki pobicia?

— A juścić niema, proszę wielmożnego pana.

— No to nic nie szkodzi i tak my to zrobiemy jakoś, i usiadł do pisania prośby.

Maciej stał przy drzwiach niby szlochając, myślał sobie: że jak będzie szlochał, to bardziej zmięknie Geldgrajf i lepiej prośbę napisze.

O biedny Maciek, on nie wiedział, że choć by człek krwawemi łzami płakał, to nie zmiękczy duszy takich Geldgrajfów, co krzywdą ludzką żyją. Geldgrajf napisawszy prośbę, kazał z nią iść Maćkowi do sądu. Maciek na drugi dzień poszedł do sądu. Ale choć go ukarano zapłaceniem złp. ośmiu, przecież rzecz bardzo naturalna, że nic nie wyskarżył w sądzie, jeno stracił na włóczeniu się, jeszcze woźnym dał parę złotych, bo żeby go administrator chciał skarżyć o straty na jakie go Maciek naraził, cała chudoba Maćkowa nie wystarczyłaby na ich wynagrodzenie.

O strzeżcie się takich Geldgrajfów kochani bracia!

Ale Maćkowi nie dość było tej nauki, bądź co bądź postanowił wykurzyć administratora. I jak mówił w karczmie, tak zrobił. Sprzedał krowę, usłuchał rady Geldgrajfa i z listem od niego i z bratem poszedł do Warszawy.

W Warszawie gdy jeszcze był młodszym, robił przy Wiśle parę tygodni, ztąd znał miasto choć niewiele, dopytał się jednakże do przyjaciela owego pierwszego protektora, jakiegoś Łgarskiego na Starem-Mieście.

Łgarski utrzymywał się także z wyciągania ludziom pieniędzy. Po zabłoconych schodach dostał się Maciek na czwarte piętro, ruszył cichutko za klamkę, drzwi były zamknięte, więc Maciek czekał kilka godzin, nie śmiejąc odetchnąć prawie. Aż przecie raz drzwi się otwierają i wychodzi ów jegomość Łgarski, łysy, pękaty, w wyszarzanym fraku, koszlawych butach, brudnej koszuli i krótkich wąziutkich spodeńkach.

— A czego to chcesz? zapytał ostro.

— Jaśnie wielmożny panie, odrzekł pokornie Maciek, ukrzywdzili mnie i jeszcze dobrego słowa nie dadzą, pan Geldgrajf przysłał mnie do pana z pisaniem.

— Aha! Geldgrajf, a pokażno ten list.

Maciek wydobył list z zanadrza.

— Chodź! rzekł Łgarski i otworzywszy drzwi, wprowadził go do brudnej i zakopconej izby. A gdy Maciek stanął przy drzwiach pokorniutko, on list przeczytawszy, zapytał:

— A masz pieniądze?

— Mam proszę jaśnie wielmożnego pana.

— A dużo?

— Dwa ruble, odpowiedział Maciej zachłysnąwszy się, jakby się dawił, bo miał więcej pieniędzy.

— Daj te dwa ruble, to ci powiem czy się co poradzi albo nie.

Maciek wyłożył dwa papierki już przygotowane zawczasu osobno, aby nie pokazywać wszystkiego co miał. Łgarski schował te dwa ruble do kieszeni od kamizelki i zapytał:

— Ale Geldgrajf pisze mi, żeś już był w sądzie?

— A byłem, ale i tam nic nie wskórałem.

— Aha! To już tutaj trudna rada powiem ci szczerze, bo mi Geldgrajf wszystko opisał. Więc za te dwa ruble, jeśli chcesz, to ci napiszę prośbę.

— A to niech wielmożny pan choć prośbę napisze, odpowiedział Maciek z kwaśną miną.

— Ale za stępel zwróć mi pięć złotych, rzekł Łgarski.

— A kiedy nie mam, doprawdy nie mam, mówił Maciek żałośnie.

— O! masz bratku, tylko poszukaj, bo bez stępla prośby nie przyjmą i jeszcze karę zapłacisz.

Więc Maciek znów pięciozłotówkę wydobył wzdychając. Łgarski jął się pisać prośbę, a napisawszy opowiedział mu, jak i gdzie ma iść i czekać rezolucyi, która niezawodnie w dwa dni nastąpi. I zabrawszy się wyszedł pogwizdując, wypuściwszy wzdychającego Maćka.

* * *

Maciek trafił gdzie mu Łgarski pokazał.

Oddał prośbę i czekał dzień jeden, drugi i dziesiąty, przychodząc ciągle do biura i kłaniając się woźnym, ażali nie dowie się czego, aż przyszło ze sądu, w którym się na początku toczyła sprawa z administratorem, i oczywiście Maciek nigdzie nic nie wskórał.

Strapiony wychodzi z gmachu, aż tu naprzeciwko niego, idzie jakiś elegancik przystojny, wystrojony ślicznie, wąsik do góry, szkiełko na sznureczku na piersiach...

— A co to wam człowieku? zapytał.

Dopiero Maciek jak się weźmie żalić, jak to nie może nigdzie sprawiedliwości znaleść, jak go to już tyle kosztuje, jak Geldgrajf i Łgarski nic mu nie zrobili.

— A! Łgarski i Geldgrajf, to pewno starzy już ludzie, pytał się elegancik.

— Nie tak ci starzy, no, ale i nie bardzo młodzi.

— Ba, widzisz mój kochany, to cała przyczyna, bo teraz inne prawo nastało którego nas młodych uczyli, więc tamci starzy go nie umieją dobrze, to coś prześlepili, mówił dalej elegancik. Ale choć tyle już kosztuje, to nic, powinieneś się dać we znaki administratorowi, a wreszcie on koszta zapłacić musi z procentem, możemy i z tysiąc złotych narachować, a jak wygrasz, to ci zapłacić musi, co to, jak to być może? Ale te stare niedołęgi nie umieli rzeczy poprowadzić, dajcie mi 10 rubli, to dziś natychmiast pójdziemy razem i zaraz decyzyę będziemy mieli. A gdy widział, że Maciek się jakoś wacha mówił: Dziesięć rubli potrzeba na stęple, dać temu i owemu, i za moją fatygę przecie. Widzisz, żebyś był nie żałował, to byłbyś miał już wszystko zrobione.

Maciek odtargował, że stanęło na pięciu rublach, przypomniała mu się krówka, co ją na proces sprzedał, westchnął, ale zapłacił. A elegancik wziąwszy pieniądze, rzekł do Maćka: Pójdźmy. I weszli do jakiejś szynkowni, tu elegancik kazał sobie podać pióro, kałamarz i papier, i usiadłszy przy osobnym stoliku coś pisał, a Maciek stał przy drzwiach z bratem i myślał sobie: *Ale to dziwna ta sprawiedliwość, że ją za pieniądze tylko kupić można. No, no, myślał sobie Maciek, gdy administrator więcej zapłaci, to więcej tej sprawiedliwości dostanie.* I byłby jeszcze dłużej myślał o tej sprawiedliwości, ale elegancik zawołał Maćka do podpisu. Maciek przytrzymał pióro, elegancik położył trzy krzyże, podpisał i rzekł:

— A teraz chodźmy, tylko ten co z tobą przyszedł niechaj tu zostanie, bo nie można inaczej jak we dwóch iść tam, gdzie się dopomniemy o swoje. Ale żeby ztąd nie odchodził, bo być może, że będzie potrzebny.

I wybiegłszy naprzód, szedł prędko mrucząc niby do siebie, a tak, żeby Maciej słyszał: „Damy my mu damy, beknie panie dobrodzieju, zapłaci sowicie.“ I tak biegł żwawo, a Maciej tuż za nim i doszli aż na Długą ulicę. Tu elegancik przystanął nagle, podrapał się za ucho, uderzył w czoło i odwróciwszy się do Macieja zawołał:

— Wiecie co? musicie tu sprowadzić i waszego brata, namyśliłem się, musi być z nami, tylko biegnijcie szybko, bo jak za godzinę nie dostaniemy się do bióra, to już dziś nic się nie zrobi.

Maciek pobiegł i zastał brata w szyneczku, w którym go zostawił.

— Choć bracie, boś potrzebny, ten pan to mi ale, sam idzie i prowadzi, jeno spiesz się żeby nie czekał.

I pędzili bracia na Długą ulicę, aż się za nimi ludzie oglądali, aż w to miejsce gdzie miał czekać ów elegancik, ale go już tu nie było. Darmo go szukali po całém mieście, nie znaleźli nigdzie, przepadł elegancik jak kamień w wodę, a Maćkowi pieniądze wyszły, zaledwie miał wrócić o czem do domu, jeno papier, ta prośba co ją mu pisał elegancik, została mu się na pamiątkę procesu.

* * *

I znów było to w Sobotę po porachunku, znów ludzie poszli do propinatora, ów na kieliszek wódki, ten coś kupić, ten pieniądze zmienić, że zebrała się spora gromadka. A nasz Maciej Ulęgałkowski z bratem Pafnucym wracali chyłkiem, nie śmiejąc się bardzo ludziom pokazywać na oczy. Droga wypadała koło karczmy i nią szedł Maciek, nie rad jakiemu spotkaniu. Ale z karczmy wyszedł Stach gospodarz i obaczył powracających z wędrówki.

— A witajcież! jak się macie? Na wołanie Stacha wybiegło więcej ludzi z karczmy. A co? prędko wykurzycie administratora? zaczęli wołać inni. Ale Maciek zmykał niby nie sły-

sząc, i byłby umknął szczęśliwie, ale druga gromadka ludzi idąca z kancelaryi do propinatora, przestąpiła mu drogę.

— A cóżeście tam zrobili? A. co? Jak tam? zaczęto się wypytywać. Opowiedźcie coście widzieli, wołali drudzy i prawie gwałtem wciągneli do karczmy Macieja ze sobą. Maciej poznał już w Warszawie, że nic nie wskóra, ale w Gromadzinie wstydził się i nie chciał tego pokazać po sobie.

— A cóż tam Macieju Ulęgałkowski, zapytał propinator. Kiedyż wykurzycie administratora? Napijcie się wódki!

Maciejowi aż krew ledwie nie wytrysła oczami, a nadrabiając miną, odpowiedział:

— Cóż to? myślicie, że tak za raz? Ale mam prośbę tak napisaną, że to ha! Zje djabła administrator.

— Cóż zrobicie z tą prośbą?

— Co zrobię, to zrobię.

— No, nie gniewajcie się panie Ulęgałkowski, rzekł propinator i pokażcie.

Maćka jak gdyby kto po sercu pogłaskał, że go nazwano panem, i sięgnąwszy za pazuchę oddał karczmarzowi starannie obwinięty papier. Propinator spojrzał i po chwili rzekł:

— Ej, nie żartujcie panie Macieju! toć to jakieś bazgrania, stare rachunki, czy coś?

— Może to tylko obwinął ten pan, żeby się nie powalała, aleć przecie ja się podpisałem, rzekł Maciek wciąż nadrabiając miną.

Propinator odrzucił jeszcze ze dwa arkusze, aż na jednej czystej karcie znalazł podpis Macieja. Przeczytał sobie najprzód pocichu, a że wszyscy byli ciekawi, co to może być takiego i uciszyli się, propinator przeczytał głośno:

Lepsza słomiana zgoda, niżli proces złoty,
Bo zysku mało daje, a wielkie kłopoty.

Lepiej zaniechać swarów jeśli szkoda mała,
O czém zaświadczyć mogę + + + Maciej Ulęgała.

— O bestya! za moje pieniądze, zawołał Maciek.

Gromada w śmiech, a propinator musiał tyle razy te wiersze czytać, aż się ich prawie wszyscy na pamięć wyuczyli.

A Maciek kiwał głową, a wzdychał: *Oj sprawiedliwość! sprawiedliwość!*

List ze wsi.

—

Nieraz już przemawiano do was mili bracia o litości, z jaką powinniście obchodzić się ze zwierzętami, któremi Bóg tak hojnie opatrzył ziemię, lasy i wody, aby były człowiekowi pomocą, służyły mu za pokarm i rozweselały go w pracy. Kiedy Opatrzność Boska tak urządziła, iż jedne stworzenia stają się dla drugich żywnością, jak oto myszy i ptaszki dla kota, drobne robaczki dla ptaszków, wszystko prawie co żyje a słabsze jest od drapieżnych zwierząt dla wilka, lisa, lwa i t. p. Przecież ta Opatrzność święta, nie dozwala, aby człowiek obdarzony rozumem i sercem, pastwił się jak bezrozumne i bezlitośne zwierze nad stworzeniami Boskiemi przeznaczonemi na użytek ludzki. Albowiem i w Piśmie świętém opisano, jak Adam wyszedłszy z rąk Boskich cieszył się widząc koło siebie żyjące stworzenia, wszystkim nadał nazwiska i pieścił się niemi. A Bóg rozkazał, aby miał z nich pożytek, lecz aby ich bez potrzeby nie dręczył.

Tymczasem ileż to razy ludzie grzeszą męcząc, dręcząc bez żadnej potrzeby rozmaite zwierzęta! Aniby spisać można złego obchodzenia się z końmi, przeciążonemi ciężarami. Ani policzyć niszczonych gniazdek niewinnych ptasząt, przez złośliwych chłopaków. A ileż jest nielitościwych kucharzy i kucharek ostrugujących żywcem łuskę z ryb milczących, dla tego może tak okrutnych, iż biedne te stworzenia żadnego głosu nie wydają, a niemniej wszakże cierpią; boć gdyby tak męczone stworzenie w ciągu tej długiej męczarni, wydawało jaki jęk, pisk lub krzyk ciągły, czyżby nie wypadł nóż z ręki oprawców?

Tymczasem jestto niepotrzebne, a okropne pastwienie się nad Boskiem stworzeniem, które się nawet użalić nie może.

A ileż to razy, ten najwierniejszy towarzysz człowieka, tak go kochający, pilnujący, rozumiejący nawet, pies poczciwy a biedny, bywa niemiłosiernie bity, kaleczony, chluśnięciem gorącej wody z kuchni wypędzony, uderzeniem drąga okulawiony. A jak bez najmniejszej litości, bez opatrzenia rolnik tłoczy jarzmo na zraniony kark, pracującego dla niego wołu. O! patrząc na takie i tém podobne nadużycia władzy, danej przez Boga człowiekowi nad zwierzętami, jakże często dopatrzyć

można więcej czucia we wzroku tych niemych stworzeń, niżeli w tym człowieku, który zagłusza w sobie głos serca, danego mu przez Boga, a przed którym przyjdzie mu kiedyś zdać sprawę z każdego poruszenia tego serca, niedaremnie w ciele ludzkiem bijącego. A dowiedzioną jest prawdą, że kto źle się obchodzi ze zwierzętami, kto niema nad niemi litości, ten nie zachowuje jak należy boskiego przykazania: *Kochaj bliźniego jak siebie samego*, bo jedno złe, do drugiego doprowadza.

Na poparcie tego cośmy wyrzekli o zauważanym nieraz smutku w spojrzeniu zwierząt, przytoczymy dosłownie list jednego z przyjaciół domowników w tych dniach z dóbr Samoklęski, z pod Lublina, do właścicieli tego majątku pisany. Oto jest ustęp z tego listu:

„Nasi parobcy odprowadzili woły do Kamionki, zkąd żydzi zabrali je do Warszawy. Zaszła jedna osobliwość o której państwu donoszę, a o której opowiadał mi odprowadzający te woły. Znany państwu dobrze ten pyszny wół *czarny* dworski, co to 1860 roku z wystawy Lubelskiej otrzymał list pochwalny; szedł sobie ochoczo i przewodniczył innym aż do Kamionki. Tam gdy nasi ludzie zdawali żydom te woły, biedny nasz *czarny* zaczął się wstrzymywać w pochodzie i stanął za innemi na samym końcu. A gdy już ludzie nasi odchodzili, jeden z nich pogłaskał go po grzbiecie, a zdawało się że *czarnemu* biedakowi, jakby łzy nurkiem z ócz popłynęły, a smutek w jego oczach był wielki, tak, że prowadzący wszyscy ludzie smutkiem byli przejęci. Opisuję wiernie co oni mi mówili, a tego tylko mi żal serdecznie, że i państwo zasmucę; bo żeby można było to przewidzieć, toby państwo niezawodnie *czarnego* nie sprzedali za żadne pieniądze.“

—

Oto jeszcze z tegoż listu inny ustęp zasługujący na ogłoszenie, gdyż idzie tu o rozbudzające się w ludzie wiejskim współczucie dla moralnych cierpień bliźnich:

„Na wsiach u nas szczególnie w Samoklęskach, panuje szkarlatyna i ofiary swe zabiera. Między innemi córeczka gospodarza, a kołodzieja Drozdy lat 9 mająca, która jak państwu wiadomo najlepiej się uczyła i dobrze już czytała, zachorowawszy w Sobotę, w Niedzielę umarła pomimo wszelkiego ratunku! Wszystkie dzieci ze szkółki, same między sobą uradziły, aby tak dobrą uczennicę uszanować; więc w assystencyi nauczyciela, kolejno nieśli jej trumienkę do parafialnego w Kamionce kościołka. Strapieni rodzice utraconej córeczki, wielkiej w żalu swoim przez to doznali ulgi; a wszystkim gospodarzom bardzo się podobał ten postępek ich własnych dzieci, i mówili między sobą: *Tak to tak! ze szkoły, to i myśli dobre do głowy przychodzą! A czy to nie lepiej tak posłużyć umarłemu, aniżeli w karczmie duszyczkę oblewać, jak to u nas mówią i robią.*“

Donoszę jeszcze państwu, że czytanie w Niedziele odbywa się. Przeczytałem im już kilka numerów *Niedzielnej Czytelni* i *Kmiotka*, a teraz czytam im *Rady Goltza*. Na tablicy porysowałem kredą liczby pieniędzy papierowych, aby je dobrze rozpoznawać nauczyli się. Gospodarze bardzo z tego byli zadowoleni.

Różności.

—

W majątku Sokołów we wsi Przezdziałka, siostrzenice właścicielki tychże dóbr, poświęcają codziennie kilka godzin czasu nauce dzieci wiejskich, a nie mając odpowiedniego na szkółkę pomieszczenia, przeznaczyły na ten cel jeden pokoik z własnego mieszkania. Szybko wzrasta ilość dzieci garnących się do nauki; w przeciągu niespełna dwóch miesięcy, doszła do liczby dwudziestu sześciu. Niektóre z nich już ponauczały się czytać, tabliczki mnożenia i pierwszych zasad katechizmu, a czystością i schludnością ubrania odznaczają się od innych dzieci, nie mogących z powodu szczupłego pomieszczenia, korzystać z dobrodziejstwa nauki.

— We wsi Magnusy w Sieradzkiem, już od trzech lat prawie istnieje szkółka dzieci wiejskich, lecz dopiero w tym roku wzrosła liczba uczących się, i słucha pilnie wykładu córki dziedziczki p. A. C., która łagodnością, stosowną zachętą, umiała obudzić w nich ochotę do nauki.

— Parafia Kamionna, położona w powiecie i okręgu Stanisławowskim, niedaleko miasta Jadowa, od lat niepamiętnych nie posiadała żadnej szkółki, w roku bieżącym liczy ich 6. Z tych 5 we wsiach: Matałach, Twarogach, Łojkach, Barchowie i Burakowskiem, założone zostały przez samych włościan, bez żadnego udziału dziedziców. Nauczają w nich uproszeni, przez tychże włościan opłacani i żywieni nauczyciele. Szkółki są liczne, mieszczą się u jednego z gospodarzy posiadających obszerniejsze domostwo,

albo też kolejno od domu do domu się przenoszą. W jednej tylko wsi Łochowie szkółka mieści się we dworze i pod opieką właścicieli zostaje. Oprócz tego w małej wsi Budziskach, posiadającej tylko 7 domów, istnieje także maleńka szkółka, której nauczycielką jest włościanka Julianna Kopaniowa, żona kopczarza. Szkółki te ubogie są w książki i elementarze. Gdyby kto z chętnych a dobroczynnych osób pośpieszył z jaką pomocą w książkach, byłoby to wielką zachętą, a zarazem i nagrodą tak dla uczących się dziatek, jako też i dla ich rodziców, tak dobrze pojmujących potrzebę oświecenia.

— Nakładem A. Lewińskiego księgarza w Warszawie, wyszły Czytania dla szkółek i ochronek wiejskich, wydawane przez K. W. Wojcickiego. Pierwsza książeczka ma tytuł król Dawid i jego psalmy, kosztuje tylko 10 groszy.

— Wyszedł w Warszawie nakładem autora Elementarz, czyli książka ułatwiająca naukę płynnego i dobrego czytania. Ułożył X. J. U. W końcu elementarza jest mały katechizm i sposób służenia do Mszy świętej. Elementarz ten kosztuje groszy osiem, a kupić go można w księgarni Lewickiego w Warszawie w gmachu teatralnym.

— W powiecie Piotrkowskim, właściciel dóbr Łęki Kajetan Podczaski podnosząc gospodarstwo własne, otworzył obszerne pole włościanom do zarobku. Obecnie przeznaczył stosowny lokal na szkółkę wiejską, w której nauczyciel wiejski pracuje cztery godzin dziennie. Elementarze dla zachęty dzieci sam kupił i przyrzekł włościanom tak długo swoim kosztem utrzymywać szkółkę, aż się ufunduje gromadzki fundusz żelazny, od którego procent będzie wystarczający na utrzymanie nauczyciela, na ten zaś cel przeznaczył stosowną ilość ziemi własnej, którą gromada swoim kosztem obrabiać, obsiewać, zbierać, następnie sprzedawać i obracać kapitałem pod opieką i odpowiedzialnością trzech wybranych z gminy, obowiązała się. W tym zaś powiecie: dwie młode panienki córki obywatela Seweryna Trepki, poświęcają kilka godzin dziennie na lekcye z wiejskiemi dziećmi i liczą obecnie do trzydziestu uczni. *(Gaz. Pols.)*

— W miasteczku Olchówce w gubernii Kijowskiej, jeszcze w 1858 r. zacny ks. Ołtarzewski, otworzył przy kościele szkółkę elementarną. Ale parafianie pomimo żarliwych wezwań, patrzyli na to z niedowierzaniem i trudno było skłonić ojców posiadających trzech synów, aby choć jednego oddali do szkoły. Rzecz ta sama w sobie tak piękna, byłaby niezawodnie zmarniała, gdyby kapłan zraził się trudnością pierwszych kroków; ale przecie tak się nie stało: ksiądz bowiem Ołtarzewski, nie mogąc bezpośrednio uzyskać udziału parafian, znalazł między niemi jednego umiejącego już czytać i tego przybrał sobie do pomocy, chociaż ławki szkolne stały pustkami. Ale pomocnik nowy posiadał zaufanie swoich współobywateli i skłonił niektórych do oddania dzieci do szkoły, a za tym przykładem poszli i inni, do tego stopnia, iż dziś dom szkolny nie może pomieścić uczni zgłaszających się. Rodzice więc w tym wypadku radzą sobie w ten sposób, iż starszym uczniom, dobrze czytającym już i piszącym, po domach każą uczyć młodsze dzieci. Ksiądz Ołtarzewski szkołę swoją urządził bardzo prosto: uczą się w niej bowiem dzieci czytania, pisania, katechizmu, rachunków i geografii ojczystej, co zbywa czasu poświęcają plebańskiemu ogrodowi i domowém rzemiosłom. Ksiądz Ołtarzewski zaprowadził także przy szkole biblioteczkę, z 50ciu dzieł już złożoną, z której wypożycza książki czytywane rodzicom przez dzieci. Kto chce szczerze, nie łatwo zraża się a w pracy nie ustaje, ten pokona jak ks. Ołtarzewski upór, przesądy i wszelkie inne trudności i w końcu dojdzie do celu! *(Gaz. Warsz.)*

— Niektóre z Gawęd warsztatowych, drukowanych w Czytelni Niedzielnej, wyszły osobno odbite w jednej książeczce pod tytułem: Gawędy Warsztatowe dla rzemieślników i robotników Polskich, opowiedział terminator. Część pierwsza, cena groszy 20.

— Z Werek pod Wilnem, nadesłano na fundusz dla biednych matek złp. 33 gr. 10, zebrane w towarzystwie.

— Gwiazdka Cieszyńska donosi, że p. Jan Gaszek, zajął się zawiązaniem Towarzystwa Rolniczego w górzystej okolicy Karpat, i że w tym celu, dnia 15 Lutego r. b. zwołane zostało zgromadzenie z 40tu osób, które już dało początek Towarzystwu.

— Gubernia Kijowska czyli Ukraina, liczy 93,730 osób katolickiej ludności. Kościołów parafialnych posiada 53, filialnych 18, kaplic 117. Kościoły utrzymane w porządku, a przywiązanie do wiary ojców jest bardzo silne.

— Wspaniały farny kościół w mieście Żółkwi, w którym jest grób sławnego polskiego hetmana Stanisława Żółkiewskiego, ma być teraz odnowiony. Na restauracyę zbierają składki po całym kraju.

— Dnia 8 Grudnia r. z. we wsi Tokary w Kaliskiem, poświęcony został piękny kościół gotycki, wystawiony przez dziedziczkę Kazimirę Sulimierską.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15.
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 20 Kwietnia 1862 r.